

Cena numeru
pojedynczego

30

groszy.

Prenumerata krajowa
kwartalnie 1 80 zł
półrocznie 3 60 zł
rocznie 6. — zł
Prenumerata zagran.
kwartalnie 40
półr. 80 centów am.
Konto P. K. O.
Kraków nr 406 000
Warszawa nr 153 210

Nr 12 (33)

GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

Warszawa — Kraków — Lwów — 15 czerwca 1927 r.

Adres redakcji
i administracjiKraków
ul. Zybi kiewicza
L. 5/7, m. 55.Godziny urzędowe
codziennie od 2—3Oddz. w Warszawie
ul. Sienna 22 m. 26
tel. 136-95.Oddział we Lwowie:
ul. Z. Chranowskiej
L. 10, parter.

Rok II.

Czarna i czerwona sutanna.

Prasa socjalistyczna jest zwykle przepełniona atakami na czarną reakcję, na krzyki postępu, na wojujący ze swobodą myśli kler. Przeciwny postępowiec wyobraża sobie dogmatyzm i fanatyzm w czarnej sutannie księdza i rzadko mu przychodzi na myśl, że czerń nie jest jedynym i wyłącznym kolorem wojującej sutanny, że może również istnieć pewnego rodzaju czerwony kler, apostołujący czerwony dogmat i czerwoną scholastykę. Każda wiara ma swoich fanatycznych wyznawców i swój kościół wojujący. Nawet w walce z fanatyzmem można dojść aż do absurdu i stać się fanatykiem walki z fanatyzmem.

Przed wojną ukazała się w jednym z humorystycznych pism fenomenalna karikatúra Andrzeja Niemcewskiego, jako biskupa. Wróg religii w roli apostoła, w roli kłochy! Artysta odczuł intuicyjnie głębię procesów psychicznych, jakie zachodzą w duszy zagorzałego wroga dogmatyzmu i fanatyzmu.

Oto człowiek taki upodobał się do tego, z kim i z czym walczy. Zasada „similia similibus” ma tu pełne, praktyczne zastosowanie. Zjadła walka z dogmatem rozgrywa się w ostatnim stadium zawsze przy pomocy dogmatu, a nie przy pomocy krytyki. Cóż więc dziwne, że do walki z czarnym klerem staje czerwony kler, że ze scholastyką czarnej sutanny walczy o zwycięstwo scholastyka czerwona.

Pierwotną postawą, jaką socjalizm przybierał w walce z religijnym dogmatyzmem, był liberalizm przykrojony odpowiednio do zasad marksizmu. Do dziś dnia socjalna demokracja kultuwyje tradycje liberalistyczne, piętując przynus i ucisk. Do dziś dnia wielu socjalistów jest gotowych powtórzyć to, co pisał Jaures w „Revue socialiste” z r. 1895: „My także posiadamy duszę wolną, my także nie znosimy żadnego przynusu zewnętrznego! I jeśli byśmy w wymarzoną przez nas ustroju społeczną nie znaleźli zaraz swobody, prawdziwej, pełnej żywej swobody, gdybyśmy nie mogli przechadzać się, śpiewać i nawet szaleć pod gołym niebem, oddychać pełną pierśią i zrywać bez troski kwiaty, powróciłibyśmy znów do społeczności obecnej, bez względu na jej chaos, niesprawiedliwość, ucisk, ponieważ wolność, która w niej panuje, choć nie jest niczem więcej, jak kłamstwem, jest jednak kłamstwem, które ludzie zwykli nazywać dotąd prawdą i która chwilami upaja serce... Lepsza anarchia, niż jakikolwiek despotyzm.”

Naprzeciw tego czerwonego liberalizmu stoi wrogi mu bezwzględnie, fanatyczny czerwony dogmatyzm. Liberalnym socjalistom rzuciła rewolucja rosyjska w oczy krwawy obraz teroru i ucisku i kazała sceptycznie patrzeć na indywidualną wolność i swobodę w wymarzoną przez nich ustroju. Daro wyrzekają się złego, czerwonego szatana i spraw jego. Coraz więcej staje się jasnym, że w bezwzględnej walce, jaka się w przyszłości między proletariatem a burżuazją rozegra, weźmie górę dogmatyzm nad liberalizmem. Czerwony, fanatyczny kler rozrasta się jak grzyby po deszczu.

Każdy, kto miał do czynienia z ortodoksyjnym, prawowiernym marksistą, tym ślepym wyznawcą materializmu historycznego, nie może oprzeć się wrażeniu, że rozmawia z człowiekiem o typowym scholastycznym sposobie myślenia, że mówi z czerwonym kłochą. Taki fanatyk odrzuca zgóry wszystko, co nie zgadza się z dogmatami marksizmu. Cały jego wysiłek myślowy koncentruje się nie

około krytycznego ujęcia przedmiotu dyskusji, ale około uzgodnienia wszystkiego z przyjętymi dogmatami. Ma swoje czerwone okulary, które nie pozwalają mu widzieć świata inaczej, jak tylko w barwach materializmu historycznego. Wszystko, cokolwiek istnieje na niebie i ziemi, zarówno teorię Kanta-Laplace’a jak i zapalenie wyrostka robaczkowego gotów jest rozpatrywać z punktu widzenia walki klas. Jest to religijnie zacietrzewiony fanatyk, jeden z tych, którzy budowali i be-

da budować świątynie rozumu, taki zdrewniały, czerwony apostoł. Jeśli dyskusja wydaje mu się przegrana, ma w zapasie twarde, doktrynerskie trzaśnięcie pięścią: „precz z dyskusją!” Czyż nie jest on duchowym bratem ponurego fanatyka inkwizycji? Torquemada, Robespierre i Lenin, to jedno i to samo nieublagane oblicze dogmatu.

Niedawno, bo tego roku ukazała się w księgarniach wulgata, popularna biblia marksizmu „Teoria materializmu historycznego” N. Bucharina. Kto chce się przekonać, jak dalece czerwona scholastyka jest rodzoną siostrą czarnej, średniowiecznej scholastyki, niech sobie taką biblię przeczyta. Dowie się, że wszystko cokolwiek na świecie istniało, zawdzięcza swój początek klasowości i walce klas. Klasowość stworzyła pojęcia ducha i materii, burżuazja stworzyła Pana Boga, a wszystko zawsze było zwrócone przeciw proletariatu. Na początku była materia, wszystko z materii, jeśli kto chce wiedzieć, skąd wziął się ruch i życie, ten nie popełni herezji, jeśli sobie wyobrazi, że się to stało skutkiem walki klas. Crede, quia absurdum, bo istotnie trudno wyciągnąć nogi z trzęsawiska relatywizmu, jeśli bodaj jednej stopy nie oprze się na twardym gruncie dogmatu.

Ten powrót do dogmatyzmu i scholastycznego myślenia ma swoje głębokie w życie wkorzenie przyczyny. W atmosferze dzisiejszego świata odczuwa się znużenie analizą i groźną tęsknotą za dogmatem, za punktem oparcia, który wytrzymałby nacisk dźwigni w chwili, gdy trzeba będzie ziemię „pchnąć nowymi nogami”. Obawia się, że ciemność, naganą wichurą wydarzeń, grożąca burzą i bagietami piorunów polyskujące, nakazują zająć zdecydowane stanowisko wobec życia i jego zagadnień, domagają się od chętnych żyć dogmatycznej postawy. Kłach liberalizmu, tu i ówdzie jeszcze nie zmitygo z sztyldów, zmierzch sceptycznego „żyć, aby żyć”, zapowiada przyszłość epoki opatrzonej godłem: „żyć, aby twierdzić”, zapowiada przyszłość czasów o stalowym kregosłupie dogmatycznego myślenia. Kto ma bystry wzrok, ten w dali na drodze wiodącej w przyszłość dostrzeże czarną procesję, na czele której pod baldachimem stalowych rusztowań, wśród muzyki kół rozpedzonych, w aureoli śmigających lotne myśli na strawną makę, krocza czerwone, fanatyczne sutanny.

Już dziś widać wyraźnie ten proces przeradzania się materialistycznej metody w religię materializmu. Jesteśmy widzami misterium reinkarnacji dogmatu.

Problematyczna dźwignia.

„Dźwignia” — miesięcznik — Warszawa Nr. 1 i Nr. 2-3.

Przed dwoma miesiącami zaczął wychodzić w Warszawie miesięcznik literacko-artystyczny „Dźwignia”. Jest to organ grupy komunistów-literatów, którzy postanowili za wszelką cenę włożyć sztukę w ramy ortodoksyjnego marksizmu. Wprawdzie nie fabrykują cacek, któreby przy takim pakowaniu mogły się potulic, niemniej jednak każda myśl, każde słowo wychodzi skrepowane przez zgóry zajęte stanowisko. Na wszystko spoglądają pod kątem materializmu dialektycznego (nawet wtedy, kiedy to nie bardzo potrzebne) i przez wszystko przegląda dążność do przemycania hasel politycznych. Nie byłoby to złe, gdyby tylko na swoim miejscu, gdyby polityka nie kłóciła się ze sztuką (niepotrzebnie!) — jak S. Bura. Tak n. p., gdy o Bronisławie Piłsudskim, dodaje w „Dźwigni” brat obecnego dyktatora. Mniejsza z tym, w tem racji, ale chodzi tu o polityczną aluzję, która w stosunku do artykułu literackiego robi wrażenie „ni przyszył ni przylat”. Wprawdzie sztukę „proletariacką” (t. zn. marksowsko-inteligentną) nie obowiązuje jakiś literacki, oczywiście „burżuazyjny”, bon ton, ale zdaje się, że i ona powinna obawiać się narażenia na śmieszność i niesmak. A tak! Dlaczego? Poprostu dlatego, że panowie piszący nie dla mas robotniczych, ale właśnie dla burżuazji, dla tego odłamu inteligencji, który albo szuka w waszej twórczości radosnych wizji zbliżających się załatwienia rasowych porachunków albo też upaja się perwersyjnie waszą poezją, jak silnymi dawkami narkotyków. Sami często głosicie walkę z szerszeniem „burżuazyjnej” oświaty przez takie stowarzyszenia jak n. p. T. U. R., więc nie dziwne, że proletariacki czytelnik Dumasa, a was burżuazja. O ile macie odbiorców wśród robotników, to macie ich tem więcej, im mniej w poezji sztuki, a więcej polityki. To też wasza nienawiść do inteligencji jest dobrze obmyślaną połącznikiem taktycznym. Plucicie i bijecie ją po pysku, bo ona dlatego was słucha i czyta. Wy ją

bezwiednie i bez zamiaru ławicie, bo ona się nudzi.

Artykuły solidnie opracowane. „Kryzys prozy” A. Stawara, który analizuje styl i język polskich

LEON KRUCZKOWSKI.

Życiorys.

Pochłaniam świat, jak światło,
Wypijam młode wino —
Złoto-zielone lata
Jak drzewa we mnie rósł —
Kołysze dni na sercu,
Pospieszne, niecierpliwe —
I stopy godzin biegna
Przez serce moje żywe.
Świat rodzi się codziennie
Zdumionym moim oczom —
Ku jakiemuś dziełu
Wielki się tłumie tłoczą.
Ku ludziom się pochylam,
Ku słowom się otwieram —
Soczysta jadra zdarzeń
Jak ziarno w sobie zbieram.
Zmysłami ubogimi
Jak światło świat pochłaniam,
Niebo ku sobie słowem
Jak dłoń kwiat nakłaniam —
Ku słowom się otwieram,
Od imion się zapalam —
Ku ludziom się pochylam
Jako ku fałom fala.
Żywięm mnie swym chlebem,
Swym słowem mnie żywicie —
O, ludzie niezliczeni!
O, twórcy mego życia!
Przepływa przez nas wieczność,
W sercach jak krew się krwawi —
Żyje i grzesze z wami
I wasza miłość mnie zbawia!

Podziękowanie.

Jak już donieśliśmy w ulotkach, dołączonych do Nr. 10 (31), p. Witold Zechenter zgłosił wystąpienie z redakcji „Gazety Lit.”. Do tego kroku skłonił go nawał pracy, przygotowania do wyjazdu zagranicę oraz pewne różnice taktyczne. Byłemu zastępcy naczelnego redaktora składamy serdeczne podziękowanie za żmudną i bezinteresowną współpracę, której oddawał się całą duszą od chwili powstania pisma aż do chwili wystąpienia. Notatka ta miała być umieszczona już w poprzednim numerze, ale niestety przeoczono ją w pośpiechu łamania.

Redakcja.

Hefena Moskwińska.

Dwiema drogami.

I.

Zgłaszających się na posadę było wielu. Wybrano jednak od razu Pawła Armanda. Wykazał taką znajomość rzeczy, że mimo braku zaświadczeń przyjęto go bez wahania. Od początku też usprawiedliwił swój wybór, wzorowem wypełnianiem obowiązków. Na pierwszym zaś posiedzeniu przyjęto jego wniosek o ułożeniu katalogu według nowej, ulepszonej metody. Zawsze ostatni przy zamknięciu biblioteki, zyskał przedko uznanie przełożonych. Kolegów zjednał równie szybko gotowością wyreczania w pracy.

Tylko najmłodszy woźny Kamil Werrer nie znośił nowego urzędnika. Wbrew ogólnym zachwytom, spoglądał na Pawła niechętnie i podejrzliwie. Zapytywany przez kolegów o powód nie miał odpowiedzieć jasno, mruzczał coś tylko o „obłądnych oczach” Armanda.

Lecz prawdziwa, choć nieświadoma przyczyna niechęci Kamila, była prosto zazdrość. Od lat dziecinnych, od dnia, w którym z szeregu kapryśnych liter elementarza, wybił się jak objawienie pierwsze słowo sensu, ukochał Kamil książki miłością wyłączną i stała. Nie rozumiejąc ich treści, nie odczuwając piękna, czytał każde, jaka mu wpadła do ręki. Każda, religijna czy świecka, beletrystyczna czy naukowa, była dlań tajemniczą szkatułką wypeł-

nioną po okładki słowem. Byłby je kupował tysiącami, a nie miał nawet na jedną. Zrezygnowawszy z marzenia posiadania tych skarbów na własność, wpadł w końcu na myśl objęcia miejsca po woźnym Biblioteki Powszechnej. Dolożył wszelkich starań by je zdobyć i odtąd żył upojony widokiem setek tysięcy tomów. Od pierwszego też dnia zazdrościł urzędnikom mogącym je czytać, oglądać i spisywać. Z większą jeszcze niechęcią przenosił zamówione do uniwersyteckich czytelni. Lecz pocieszała go dotąd myśl, że wszyscy tamci wysysają treść tylko, odnosząc się obojętnie do samych książek. Tak trwał przez lat kilka, aż oto przyjęto Armanda. Nie był to pierwszy nowy urzędnik za czasów służby Kamila, lecz był to napewno pierwszy, który nie obojętnie odnosił się do książek. Kamil zrozumiał to od razu. Nie wiedząc skąd płynie świadomość, wiedział że tamten na równi z nim widzi w książce, poza treścią, książkę.

Lecz fala niechęci wezbrała najsilniej na wieść, że zezwolono Pawłowi przebywać w bibliotece w godzinach pozabiurowych. Był to przywilej, o którym on, Kamil marzył napróżno od chwili objęcia stanowiska. W dniu, w którym Paweł po raz pierwszy pozostał miał w bibliotece, Kamil ociągał się z wyściem jak mógł najdłużej. Przedstawiał po raz drugi szufladki katalogów, przerzucał stopy rewersów, porządkował karty zamówień. Oto za chwilę Paweł Armand zostanie sam z książkami. Będzie mu wolno każda z nich brać do ręki, oglądać, czytać, notować. Lecz by on dał za kilka takich godzin. Lecz w końcu trzeba odejść. Zamykał drzwi z łałem leniwym, oglądając się kilkakrotnie.

II.

Gdy spostrzeżono pożar było już za późno. Straż napróżno walczyła z ogniem. Z każdej sali wybuchały kłęby dymu okalające wieńcem arkady starego dziedzińca. Czerwieni płomieni powlekała nową oprawą zniszczone okładki. Kartki foliów, kart i ósemek zwiły się w ogniste pęczki.

W pierwszych chwilach nie zastanawiano się wcale nad przyczyną. Strata była tak wielka i tak niepowetowana, że myślenie tylko o klęsce. Lecz kiedy ogień już dogasał wpadł na ulicę Kamil. Biegł walczyć bosami piętami w kamienne tafle. Mimo ostrzeżeń wpadł prosto na podwórze. Popatrzyli nań czarnemi otworami jamy okienne. Żar bił jeszcze od murów i wiatr wywiewał gromady zwęglonych kartek. Deszczem gromym opadały wokół Kamila. Zakreślił się z nim zgodnie i z nim opadł na ziemię.

Otrzeźwiony w pobliskim szpitalu zaczął wołać by szukano „tamtego”. Potem oskarżał siebie o „nieodpowiedzialność”.

Władze nie przywiązywały zrazu wagi do słów woźnego. Lecz fakt nagłego zniknięcia Pawła Armanda rzucił wiele światła na sprawę. Na sensację nie czekano długo. Po kilku już dniach dzienniki doniosły o ujęciu sprawcy. Odtąd całe miasto wyczekiwało dnia oznaczonej rozprawy.

III.

Oskarżony zrzekł się obrońcy. Wprowadzony do przepelnionej sali patrzył spokojnie przed siebie. Z tym samym spokojem odpowiadał na wszystkie pytania i odrzucał przyznawał się do winy. Oczekująca sensacji publiczność doznawać poczęła zawodu. Tu i ówdzie otwarcie ziewano. Wkrótce jednak przerwały ci-

szą głośniejsze słowa. Pytano o powody. I w ślad za pytaniem o zakrety galerii obito się głośnie, wyraźne słowo:

— Nienawidziłem! —

Ciężko się wyrzec treści życia istoty, lecz przyszła przecie chwila publicznego wyznania wiary. Może wśród setek znajdzie jednego choćby następcę.

— Nienawidziłem! — Prześladowały mnie całe życie, od początku. Wszystko com przeszedł, odczuł, przeżył, odnalazłem w nich po kolei. Wszystko już znałem, umiałem oddawna na pamięć. Sklasyfikowały, opatrzyły etykietką. Na jedno uczucie naklejono napis „pierwsza miłość” na inne „dążenie do sławy”. Każdy tytuł włókł za sobą szereg żytych rekwiwytów. Odruch samoobrony nazwano patriotyzmem, rozmyślanie szczytną filozofią. Nie można ich było niczem zadziwić, niczego wyniszczyć. Każda ich kartka przedrzeźniała życie. Najlepsze były tylko nędzna fotografia. Nienawidziłem. Zabrały mi wszystko. Znały dwa słowa tylko: „wszystko było”. W tysiącach ich kartek odbijały moje życie jak w tysiącach krzywych zwierciadeł. To jedno. Drugie zamykały resztę dróg przedemną. Tamte przedrzeźniały uczucia. Naukowe gnębiły rozum. Ukazywały jak wiele zrobił człowiek. Przekonywały że, obym pomyślał — jest wykonane. Każda nowa okradła mnie o jedną możliwość. Niszczyłem je od lat tylu wszędzie. Kupowałem lub kradłem, by były w mojej mocy. Ale to mało. Chciałbym je zniszczyć wszystkie. Wtedyby zapomniano o minionem. Wszystko byłoby nowe, nieznane, świeże. Nie żałuję. Spełniłem część zadania. Każdy z was je nienawidził tak samo tylko nie śmiecie się przyznać! —

Słuchano go z coraz słabnącem zaciekawieniem. Ten i ów zakreślił palcem

znaczące kółko na czole. Wtem ku poręcz galerii przedarł się jakiś człowiek. Przechylony poczał krzyczeć ku dołowi: — Wiedziałem że nienawidzisz. Ty podły! Myślałeś o sobie. A są tacy co je kochają! Słyszysz, kochają! Tak samo silnie jak ty nienawidziłeś. Spaliłeś tyle. Ale zostali miliony. Są miliony i będzie ich więcej. Słyszysz! będzie ich coraz więcej! —

Armand po pierwszych słowach popatrzał w górę. I za nim tamtego oderwano od balustrady, przez część sekund spojrzeli sobie w oczy: Paweł i Kamil. Twarz Armanda powlokła się wyrazem niesłuchanego zdumienia. Potem opuścił oczy, rozważając coś w najgłębszej zadumie. Sprawcę niepokoju wprowadzono z sali. Rozprawa potoczyła się dalej. Oskarżony w zupełnym milczeniu przyjął wyrok na szereg lat więzienia.

IV.

W mieście przemysł drukarski kwitnie oddawna. Wyszukoleni zecerzy składają tysiące czcionek. Z pod maszyn codziennie wychodzą setki arkuszy znaczonego czarnymi rzędami liter. Lecz od lat kilku dwaj zecerzy przeszli w biegiłości innych.

W drukarni „Nowej Książnicy” pracuje Kamil Werrer. Z jednakową radością codziennie układa ołowiane czcionki. Wydrukował już wiele książek.

W karnych „Zakładach pracy”, pracuje więzień numer 420. Sam prosił o przydział do drukarni. Codziennie z jednaką radością układa ołowiane czcionki. Twarz ma pogodną. Przemysłał w życiu dużo. Wydrukował już wiele książek.

Nie usłyszą — pewno nigdy jeden o drugim.

Montherlant — poeta i filozof sportu.

Współczesna twórczość literacka, tak różnorodna, wszystkimi porami usiłuje wessać w siebie, w krew i ciało zamienić różnorodne objawy życia. Jest to dziś może zadaniem trudniejszym, aniżeli kiedykolwiek dawniej. Szybkie tętno współczesnego życia, zjawiska wywołane błyskawicznym tempem postępu wynalazków technicznych i pędem rozwijających się przed naszymi oczyma zdarzeń, wymagają silnego zesrodkowania zainteresowań, przesunięcia ich do głębi i wyrazu intensywnego, w którym ściśle dostosowanie formy do treści walczą o lepsze z bezpośrednią odczuć. Odkąd literacka rewolucja rozbiła kosztowny schematyzm interpretacji, niema już — teoretycznie przynajmniej — dziedziny realnej rzeczywistości, którejby literaturze nie godziło się zaatakować i szturmem zdobyć.

Do dziedziny najmniej pozornie podatnych pod żyzniącą orkę literackiego lemiesz — należy sport. Wiemy wprawdzie, jak wielką rolę odgrywa on w życiu młodzieży współczesnej, wiemy, że jest naturalnym i zbawienym buntem przeciw zwyrodniałemu działaniu warunków wielomiejskiego bytowania, ale sport w literaturze? Zbyt przyzwyczailiśmy się do analizy — drobiazgowej czasem, choć nigdy nie dogłębnej — procesów psychicznych naszych bohaterów; sport jest dla wielu jeszcze czemś napisanym na marginesie życia, czemś ubocznym, literacko bezwartościowym — a pomieszanym z pojęciem gimnastyki, spada nieledwie do roli fizjologicznej funkcji, nie nadającej się do estetycznej interpretacji. Zniechęca nas do sportu jego charakter widowiskowy. Zapominamy, że tłumy zaludniające trybuny footballowych placów, okaskujące każdy celnny strzał, oczekujące w nerwowym napięciu wyniku regat czy wyścigów, a składające się w łwiej części z ludzi, którzy sami nie uważali za stosowne nigdy ciała swemu użyć nawet godziny gimnastyki szwedzkiej — to tylko pozór, dla samej rzeczy nieistotny. Przestępiamy wartość społeczną oraz — powiedzmy wreszcie — wartość psychologiczną sportu.

Jest główną zasługą Montherlanta, że potrafił te wszystkie pozytywne wartości wydobyc i konsekwentnie nakreślić. We wszystkich utworach tego młodego pisarza (pierwszego jego znaczącego utworu „La relève du matin” ukazał się w r. 1920), począwszy od powieści osnutej na tle wojny „Le sonnet” (1922) a skończywszy na utworach sportowych w ścisłym tego słowa znaczeniu („Le paradis à l'ombre des épées” i „Les onze devant la porte dorée” 1924) — wybiła się na plan pierwszy kultura ludzkiego, w najszlachetniejszym tych słów znaczeniu. Nie jest to ów erotyzm zaprawiony zachłystw dla ciała kobiecego, wspólny tak wielu dzisiejszym malarzom i rzeźbiarzom kobiecych „aktów”. Względnie w światopoglądzie Montherlanta niezmienne małe i nikczemne miejsce zajmuje erotyzm. Estetyka ciała ludzkiego w ruchu, czy w spoczynku, harmonia pracujących mięśni i wykonywanej pracy, są przedmiotem jego artystycznej podnieci. Nie zaprzecza też wcale, że większość swych poglądów zaczerpnął od Greków. Oko Fidyasza i Praksytelesa posiadać powinien widzi grzysk sportowych, a lutnię Pindara w dodatku, jeśli przystem jest poeta. To też większą część jego poematów proza, jak „Dziewczynie zwycięskiej w biegu 1000 m.” „Bieg sztafetowy”, „Śpiew dławczat z nadejściem nocy”, „Ognie na dachach” i w. i. (ze zbioru „Les onze...” parę utworów w

przekładzie polskim w „Antologii nowej literatury francuskiej” Anny-Ludwika Czerny) — są to właściwie w klasycznym stylu utrzymane epiki.

Estetyczne wrażenie ciała przejawia się nie tylko w jego całości, w napięciu mięśni,

w celowości ruchów; każda część składowa ludzkiego organizmu jest dla Montherlanta przedmiotem artystycznych wzruszeń. Jak w oderwanej od torsu ręce greckiego posągu widzimy jeszcze genialną dłoń mistrza, tak każde ścięgno atlety staje się dlań tematem

godnym literackiego opracowania („Torse de boxeur”). Sztydzi niemiłosiernie z niechęci używania przez poetów nazw nadanych poszczególnym mięśniom przez anatomicę. „Czyż wstyd jest... nadawać dokładną nazwę określonej istocie wielkiego cielesnego

państwa? Prawda jest, że mój poeta boi się prawdziwej twórczości. Aby to ukryć, dobre mu są wszystkie słowa niejasne. Lubie rzeczywiście; niema w niej dla mnie nieskończonych małości; nie w niej nie zdaje mi się niegodnym”. („La gloire du stade”).

Z tych założeń wychodząc, tworzy Montherlant „hipotezę duszy cielesnej”. Nie należy jej sobie tłumaczyć w sposób zbyt abstrakcyjny. Montherlant jest sam sportowcem; z dumą wspomina, że należy do drużyny footballowej — a jak każdy rasowy sportsman jest realista. Nienawidzi metafizyki, pogardza uczuciowością, bowiem ta „jest skłonna zaniedbywać ciało”. Rozróżnia niezbyt ściśle w zasadzie — ale konsekwentnie, w umysłowości europejskiej pierwiastek żeński, orientalny z pochodzenia, a oparty na fantazyjnych abstrakcjach — i męski, laciński, „oparty na naturze i rozsądku”. Wśród tych dwu ewentualności wybiera drugą. W walce między „Tybrem i Orontem” zwyciężyć powinien rzymski Tybr — a z nim racjonalistyczna „moralność sportu” ujęła przez autora w zasady, których część dla przykładu przytoczymy:

- 1) To co jest wyprzedza to, co się zdaje.
- 2) Moc wyprzedza słabość.
- 3) Charakter hierarchiczny i arystokratyczny organizacji i dyscypliny.
- 4) Pojęcie „braku walorów” podstawione na miejsce pojęcia grzechu.
- 5) Zdolność zmierzania do celu bez względu na nagrodę...

Filozofia sportu, którą rozciąga przed nami Montherlant uderza tem samem w struny społecznych wartości. Konieczność „zgrania się”, wytworzenia „stylu” i dążenie do wzmożenia „walorów” sportowych jednostki zmusza człowieka do poddania się dyscyplinie, do rezygnacji z ambicji osobistej na rzecz ambicji zbiorowej, wyrosłej z zbiorowego wysiłku.

Autor usiłuje poza teoretycznym opracowaniem kwestii ze sportem związanych, przedstawić nam temat w sposób możliwie najwzrostomniejszy. Ubiara więc rozważania swe nie tylko w formie rozpraw (Tybre et Oronte) i wyżej już przeze mnie wspomnianych poezji, pisanych zresztą z jednym wyjątkiem (Les sauteurs des haies — ra tym właśnie utworze opart się Wierzyński), kapryśnym, rzadka asonansowanym prozawiersem; nie cofa się przed rzucaniem szkiców psychologicznych w rodzaju „La gloire du stade”, obiera już to formę noweli, już to wreszcie dialogu. W obu zbiorach widać jeszcze walkę, przemaganie się z utartymi szablami, właściwe wszystkim torującym nowe drogi, choć przecie w powieściach, które zapoczątkowały sławę Montherlanta, („Le sonnet”, Les bestiaires”) jasność idei szła już w parze z pewnością i opanowaniem formy.

Jak dotąd, „poezja sportowa” wytworzona przez Montherlanta, nie wyszła jeszcze z zakresu prób. Czy zachowa i wytworzy nowe wartości w sztuce, a nie okaże się ślepą uliczką, jakich tyle szumnie powstawało w literaturze w ostatnim lat dziesiątku: to w wielkiej mierze zależy od tego, jaką treść wlać potrafią jej zwolennicy w formę już gotową. Pewnem jest, że w poezji tej nie będzie t. zw. „wzlotów ducha”. Pewnem natomiast jest także, że tryskać z niej będzie teżyma moralna i fizyczna, tak potrzebna dziś — nam szczególnie. Dlatego też wartości, aby się czułyści polscy bliżej zaznajomili z twórczością Montherlanta.

Dr. J. F.

Eugeniusz Bauto.

O nowy kierunek ideowy w naszej literaturze.

Z powodu opinii prof. Jaworskiego o „Zarazie w Grenadzie” J. N. Millera.

W artykule swym o książce Millera, ogłoszonym w swoim czasie w „Wiadomościach Literackich” profesor Jaworski przemówił do nas i jako filozof i jako poeta w pewnym znaczeniu. Jako filozof — bo trzyma rękę na żywo bijącym pulsie najnowszych prądów filozoficznych, bo dostrzega i głęboko wnika w pierwszorzędne zagadnienia bytu i życia, w szczególności zbiorowego. Jako sui generis poeta — nie tylko dlatego, że swym rozważaniom nadaje piękną i pociągającą szatę, ale również, co jest jeszcze ważniejszym, z tego powodu, że na dnie jego filozofii tkwi to, co stanowi istotę wszelkiej poezji: piękno i miłość i na ich podstawie ustosunkowanie się do problemów współżycia (pewien herbertowski estetyzm etyczny). „La poesia es la musica del alma, y en particular de las almas grandes y sensibles” — a przejawiać się to musi nie tyle w formie, jak raczej w treści. Nado — gdyż zwraca się on do poezji i w niej szuka wyrazu dla filozoficznej myśli. Za nader szczęśliwy poczytać się musi jego pomysł takiego skierowania uwagi tych, których ciężkie dzieła filozoficzne bynajmniej nie pociągają, na teraźniejszą czy dawną poezję filozoficzną w przedmiocie aktualnych wciąż problemów. W ten bowiem sposób filozoficzna koncepcja, nawet najzawilsza i najgłębsza, łatwo zostaje uprzyjętniona, zrozumiała i uchwycona.

Uniwersalizm prof. Jaworskiego jest szczytową formą filozofii totalistycznej tj. tego kąta patrzenia na świat i życie, który we wszystkim dostrzega jedność i całość, zależność i funkcję itd. Opiera on się bowiem o religię, a więc o Boga. Z drugiej strony za wień najistotniejszą pożytuje: miłość. Jego w tym względzie nastawienie można oddać dobrze formułą Przywary (Gottgeheimnis der Welt 1923). „Gott in uns und über uns”. Nie tylko mu chodzi o miłość z Bogiem, ale o zależność świata, a więc i nasza, od Boga, o wysnućie pełnych konsekwencji z tego stwierdzenia i przyjęcia przedewszystkiem w dziedzinie moralności. Stąd płynie jego absolutna filozofia, jego absolutna moralność. I prof. Jaworski widzi i czuje tak, jak to pisze np. H. Schwarzw. Tem różni się jego koncepcja od innych rodzajów rzeczowej filozofii np. od Driesch'a i zbliża się do poglądów np. M. Scheler'a (por. tegoż „Einführung” w dziele Wesen u. Formen d. Sympathie), choć i od tegoż dzieła o teistyczne nastawienie. W tem akcentowaniu uczucia miłości przypomina prof. Jaworski właśnie Goethego, który wszak pisze (Divan, 8 Buch, Suleika):

Denn das Leben ist die Liebe
Und des Lebens Leben Geist.
Również obaj myśliciele nie przeczegają, że całość — to realna kategoria, że ona icoi się w naturze. Wypowiedzi prof. Jaworskiego są znane. Co się zaś tyczy G. Hegego, to przypomnę:

Wie alles sich zum Ganzen weht,
Eins in dem andern wirkt und lebt.
Oprócz miłości podkreśla Goethe drugi jeszcze czynnik, a mianowicie: idee. W „West-östl. Divan” czytamy:
Mir bleibt genug. Es bleibt Idee und Liebe.
Przez ideę rozumie on nie tylko to, co my, ale coś więcej: pełność, doskonałość, a dalej, co jest najważniejszym i szczytowym zarazem, istotę, względnie ogólność. W takiej koncepcji łączy się i mieszały poglądy starożytne (logos, Platon), średniowieczne (wieczne prawdy — universalis), nowożytne (wrodzone idee). Otóż jako taka idea poimuje Goethe i całość (das Ganze), wobec czego, całość — ma u niego dwojakie ujęcie: idealistyczne i realistyczne. Oczywiście tak rozumiana całość da się jeno intuicyjnie ująć i pojąć.

Przez powyższe uwypuklone rysy, Goethe jest uniwersalista. U niego znajdujemy silne akcentowanie tegoż myślenia i uczucia. Dlatego też szczęśliwą miał myśl prof. Jaworski zwracając uwagę na tego poetę — filozofa.

Prof. Jaworski, omawiając pracę p. Millera, świadomie pozostawił na boku krytykę z punktu widzenia naukowego i filozoficznego. Przez wskazanie na uniwersalizm Goethego, dostarczył nam podstaw do tej krytyki. Nado wytknął inne jeszcze braki rzeczowej pracy. Niniejsze zaś moje rozważania, przeciwne są roztrząsaniom wywodów p. Millera właśnie z powyższego punktu tj. na podstawie pojęcia i istoty totalności.

Książka p. Millera napisana jest przez poetę, wobec czego za dużo w niej „poezji”, a za mało ścisłości i stałości. Autor swe wiadomości „teoretyczne” w ujęciu do uniwersalizmu czerpie z prac tylko teoretycznych literackich (sztuki). Są to zatem wia-

Obywatelskie!

Nie żałujcie grosza na cele oświatowe

J. J. L.

J. Kudłiński.

Regaty.

Szkie.

Marzenie jego było spełnione.

Był przeznaczony do regatowej osady.

Miał numer drugi na czterowiosłowej, rasowej „Mewie” i brał już udział w przedregatowych treningach. A w tem jego pragnieniu dostania się do osady regatowej nie tylko ambicja grała rolę. Było to znacznie więcej skomplikowane. Szkole wiosłarska zaczynała się bowiem na starych, klepkowych łodziach, dosyć nieporęcznych i ciężkich baniakach, zaniedbanych po macoszemu. Zawsze coś w takiej łodzi szwankowało — nie było na swoim miejscu — było nadłamane, sztukowane, lepione czy powiazane. Grat taki ciężki i oporny nie budził zaufania i nie można się było do niego przywiązać. Nie wynikał żaden kontakt uczuciowy. Były to tylko nieważące przejściowości znajomości. Przyszem osada, zwykle przygodna nie dochodziła do stopienia się w jeden rytm całości — rytm który, (czuł to dobrze) był istotnem dążeniem każdego dobrego wiosłarza.

Jakże inaczej wyglądała łódź „rasowa”. Precyzyjny smukły kadłub z ciemno politurowanego forniru cynamonowej barwy, pyszne lekkie wiosła chodzące w dulkach z aksaminą łatwości, siedzenia suwające się, oliwne-cicho i sprawnie po szynach — wszystko to troskliwie utrzymywane, świeże, pachnące lakierem i pokostem, starannie — było kwintesencją możliwości i wprowadzało moment przyjaźni wdzięczności — przyjaźni. Czulo się wykwiłt sportu.

Z drugiej strony precyzyjny ten sprzęt, wymagał odpowiedniej ręki. Wiosłowanie było tu już sztuką. Wiosłarz był tu tak organiczną częścią łodzi, był tak ściśle włączony w pracującą „całość”, że każdy nieobliczony ruch, fałszywe pociągnięcie wiosłem, jednym słowem każde wybieście się z ogólnego taktu i symetrii, sprawiło gniewne rozkołtysy łodzi i groziło nawet wyróce-

nieniem wytrąconej z normatywnego trybu całości.

Ale zato przy dobrej osadzie — łódź taka widziana z góry (z mostu naprzykład, skąd zacierały się szczegóły i poszczególne fazy pracy) — była sunącym szybko wozem, poruszaniem maszynowo przez kołyszące się automatycznie białe sylwetki wiosłarzy. Podobna było do wodnego pajaka-suwaka, ślizgającego się lekko po powierzchni wody.

W takiej łodzi siedział teraz.

Wyścigowa czwórka. Na starcie. Siedział jako numer drugi. Był nowicjuszem w starej osadzie. Startowały trzy łodzie. Siedział wyprostowany z wyciągniętymi nogami. Dionie lekko utrzymywały wiosło na wodzie. Słofce świeciło jasno a rozbiyszczana woda święgotliwie płuśkała o burtę. Wszystko to nieatrwalnie obiało się o jego świadomość. Był podniecony i zdenerwowany. Siedział drugi z kolei. Za nim rozmawiano swobodnie. Przed sobą widział spokojną twarz sternika i również spokojne klasyczne plecy swego poprzednika, wykwitające z wazkich skupionych bioder — szerokim białym kielichem, zamkniętym łukiem bark, rozłożonych miękkim w narzmieniach mięśni.

Poprzednik ten to był regulator ruchu. Milczaco nadawał tempo całej osadzie. Był tem, czem rytmiczne uderzenia w miedziany kocioł na rzymskiej tირემie.

Nazywał się Walt.

Walt był jedyną ciemną plamą w jego regatowej radości. Nie można powiedzieć by był niesympatyczny, niemili. Owszem uprzejmy był i koleżański. Ale coś w nim było takiego... Trudno właściwie określić. Był doskonały. Za doskonały. Silny, wytrzymały, niezwykle bystry. Zawsze wszystko wiedział, o wszystkim pamiętał — widział, wszystkiemu zaradził. Jeżeli coś przewidywał — zawsze się sprawdzało, jeżeli ostrzegał — zawsze miał rację. To było nieprzyjemne. Ta jego ultra - doskonałość. We wszystkim. Trudno się było przyzwyczaić do tego. Ostatnio na treningach w kilkunastu ostatnich metrach brał tak wściekłe tempo, że reszta osady nie mogła nadążyć.

Puchli poprostu, jak się to mówi. A on się śmiał. „Musicie się chłopaki jeszcze podciągnąć. Bez gadania. Tem tempem musimy bić przed celownikami — inaczej dostaniemy w krzyż. Bez 39 uderzeń na minutę nie mamy co robić”. A taka bestia była czujna, że zaraz dosłyszał czy wyczuł, jak ktoś z osady za nim, chcąc mu nadać — jął partaczyle robotę. „Ty czwórka nie mieszaj wody” — trafiał nieomylnie, śmiał się i śmigał dalej wiosłem, zatapiając z bezprzykładną doskonałością pióro — i ciągnął krzyżem tak potężnie, że giął wprost stylisko.

Opowiadano, że raz złamał wiosło w dule.

Doprowadził jednak na treningach do tego, że numer 4-ty i 3-ci doszli już, acz ostatnim wysiłkiem, do 39 uderzeń. Numer drugi wpadł też w tempo, lecz według bezceremonialnego oświadczenia Wata „mieszał wodę” a nie wiosłował.

I to doprowadziło go do rozpacz.

Był teraz do najwyższego stopnia zdenerwowany.

Pragnął już, żeby ich ze startu wypuszczono. Był przedziej przebyć trasę. I dojdź do tego momentu. Tam przed celownikiem miało się „to” ostatecznie rozegrać.

Nie wiedział nawet kiedy się zaczął biegać. Wpadł odrazu w bardzo ostre tempo.

Starął się utrzymać równy oddech i całym ofiarnym wysiłkiem orął pracowicie i żmudnie podatną wodę, twarzą kończąc każde pociągnięcie i wyrzucając gładko wiosło. Zapierał się wściekle w podnózek, przechylony ciągnął krzyżem, wgniatając się w siodełko siedzenia.

Nie nie istniało pozatem.

Zapamiętał się zupełnie. Tkwiły mu tylko jeszcze w pamięci stereotypowe przykazania wiosłarskie, które czujnie zamieniał w rzeczywistość. Wzrokiem przylepiony był do obecnych przed nim żywo pleców. Nachylał się za uciekającą wprzód i potężnym machnięciem tułowia w tył, unikał gdy kłoniły się na niego. Kątem oczu obserwował pióro „jego” wiosła.

Powoli jednak, w postrzeganiu rozbiegających wrażeń przeszedł do słuchowego wy-

czucia rytmu, który nagle wyraźnie mu się objawił. Pracę swą spełniał już automatycznie i beśwładnie. Nie wyteżał już uwagi, aby nie wypaść z taktu. Działo się to już samo ze siebie.

Nie był już odrębną całością, był częścią zrytmizowanej całości.

Łódź szła dobrym pędem, składającym się z potężnych posuwistych pchnięć, szczupacznych rzutów, które następowały rytmicznie, beśwładnie po wyrzuceniu wiosła. Wyrzucanie to połączone z energicznym obróceniem wiosła, wyrażało się jednocześnie we wszystkich dulkach chrobotnieciem. Chroboty te skandowały wyraźnie. Były to jakby miarowe stęknienia, towarzyszące opuszczaniu z rozmachem siekierze przy rabaniu drwa.

Walt nieznacznie zwolnił tempo, w które osada przeszła bez zarzutu. Po pierwszym oszaleciu można się było zorientować. Jedną łódź odwalił już całkiem „na amen”. Druga szła od samego startu tuż obok nich. Wiosłarz na dziobie miał na plecach, wielką, czarną ósemkę. Łódź ta szła raz przed nimi raz za nimi najwyżej o pół długości.

Skwar jak dopiekał. Ciało potniało sełnie, a po czole sączyły się strużki grzającego w oczy potu. Oddech był jeszcze równy, ale niepokoił się trochę. Dolegał pęcherz na dloni. Po pierwszych wrażeniach — znów jęło go ogarniać zdenerwowanie. Nie wiedział, jak długo wiosłował i czy daleko jeszcze. Pamiętał tylko, że właściwy finisz rozpoczynał Walt po wyminięciu niebezpiecznej mielizny, przed którą drżeli. Po wzmożonej uwadze sternika poznał że zbliżają się do niej. Widział jak kark Wata jak lśnić od potu, a na koszulce jęły występować ciemne, mokre plamy. Poczuł nagle, jak łódź zaszugała ostro bokiem po mieliznie, otarła się mocno w żwirowanym piachu, zaskrzyphała na kamieniu, poczuł pod piórem niebezpieczną pływiznę... Nie. Mineli szczęśliwie. No, teraz zaczyna się. Rzeczywiście. Walt jał się ściąć coraz to szybciej i szybciej. Aż strach. Finisz. Wstuchany we wznoszący potężnie pośpiech wiosł pod magistralnym wprost wpływem tego impera-

tywnego taktu, zaciął zęby, zamknąłwszy oczy i całym skoncentrowanym aż do bólu wysiłkiem, parł na wiosło z męskim poczuciem odpowiedzialności za wynik zbiorowego wysiłku. Zapomniał o oddechu, który stał się nierówny. Zapomniał o prawidłach i przykazaniach. Serce waliło mu potężnym taktom, że nierozróżniał rytmu serca i rytmu łodzi. Złazy się w je-dno. Takt i ty-le. Takt wy-trzy-mać. Takt. Takt. Raz-em. Raz-em. Oddech stawał się coraz krótszy. W ustach śpiewkota. Dłoń boli coraz mocniej. Mięśnie pracujące jęły zwolna omdlewać od nadmiernego wysiłku. Resztki woli kurczyły się w nim. Kończyło się już. Jeszcze. Je... Chciał krzyknąć: Dosyć! Wolniej! Nie mogę! Lecz zwyciężał go rytm nieustanny, władczy, nieubłagany, nieustępliwy.

I wtedy w ułamku sekundy w zupełnem pomieszeniu i chaosie wrażeń urwał oblana potem twarz Wata i usłyszał elektryzujący szepot: „Jeszcze parę mocnych”. Ta podnieta smagnięty, olbrzymim wysiłkiem woli, wparł wiosło w wodę, raz, drugi, trzeci. Zdawało się, że krew z twarzy... Już Oklaski. Aha! Celownik. Czarny numer 8 przedemną. A więc zostali. Zostali. Walt.

A ponieważ sternik krzyknął już „pas”, więc wszyscy wyrzucili wiosła i ruchem tym pchnięci legli beśwładnie wyścignięci.

Uff! Odpocząć. Prąd niosł ich dalej.

Leżał ciężko dysząc z palającymi policzkami.

Zwyciestwo! Słońce! Radość!

W podnieceniu swem czuł wzmoczoną, spotęgowaną emocjonalność swego istnienia. O jakże głęboko i intensywnie oddechał. Krew pulsowała.

Jasny błękit z białymi chmurami i rzeźwy chłód rozgadanej wody działały kojąco.

Walt już gadał: No? Aleś w wypom-pował. Dobrzeście dziady ciągnęli. Bez gadania. Zapytajcie kogo chcecie. Jak nie było 40 uderzeń — możecie mnie nazwać dziurawym baniakiem! Ty dwójka ciągnęliście jak ekspres.

„Dwórka” leżał chwilę cicho, a potem rzekł:

— Walt! Wiesz co? Morowy z ciebie chłop —

JERZY BRAUN.

Samotność.

Gdy Bóg na gwiazdy przemelił swą wieczność
na żarnach,
noc zapada z wysoka nieprzejrzana i czarna.
Sam siebie wziętem w drogę, sam sobie naj-
milszy
idzie ze mną samotność i do ucha mi milczy.

Ani jeden głos ludzki nie nadejga z dala,
Ona jedna mnie ściga, porywa jak fala.

Wokoło mnie noc pluszcze jak senne jezioro,
o tysiąc mil nademną drzące światła góra.

O tysiąc mil nademną osadził ktoś słońca,
które kiedyś po wiekach, jak jabłka postrąca.

Ale tutaj na ziemi imie jabłka awisa,
Księżyc je w białych sadach ukofał ciszą.

Księżyc je, jak trzmiel z kwiecica wybiera przed
czasem
— już bucha w nozdrza wonią zapowiedź ich
kwasu.

Płynę wiośnami kroków poprzez topieł światła,
a szumi we mnie podziw, jak wiersz w poema-
tach.

Pod granatowym niebem doly czadem zieją,
wzgórza gna się pod kwieciami i sady zaleją.

Parna słodycz się tarza po łakach i wdycha,
Zwisają mokre kłosy z wonnego kielicha.

Srebro z mlekiem przecieka przez korzenie
ziemi,
wypukła, dżdżysta noc zawlokła się nad niemi,

i kiedy pierwsze krople zasyczały na drzewach,
zniechęcony gwiazdy i zgasy pod ulewą.

Już nie rechocą żaby, już wilgoć po pniach ścieka.
Samotność chroni się ze mną w zacisznym domu
człowieka.

ALEKSANDER ŁĘCZYCKI.

Z cyklu: Tkanka.

Alchemiczny sok.

Kręw we mnie huczy śmiechem życia —
kręw lepka — ciecz niesamowita,
rozwałęsała się w korycie
życiowej wiozła tkanki wita.

Rozbiegły się przeze mnie kretó,
zgniatane węże: sieć arterii.
W czerwonym młeksim wściekłe
złota soczysta ciała teren.

Ssaco-fłocząca pompa, serce,
rozsadza hałe, prety żeber,
leniwa kręw w arterie wwierca:
krw! ciągle nowej tkankom trzeba!

Naczyni rozszawa się wąwozem
i pilsi gąbżasta mięśni poi
stałowa sily pięści groza, —
przyszłym zwycięstwem moich wojen!

MARJAN SEWL.

Zazdrość krótkowzroczna

Uwiazany na śmigłej kotwicy Twych spojrzeń,
bezuatanku młotałem się żalami, troskami za-
zdrości.

Podajrziwa, chytra, jasnowidząca niekiedy
zazdrość moja, każdej najmniejszej możliwej tajem-
nicy starała się i umiała zapobiec.
Istotnej kleski nie dojrzała. Nie spostrzegła,
— że Ty o mnie wcale nie byłaś zazdrośna...

Tamten wieczór.

W płynnych zagieciach płynnej kotary mroku,
czaił się wyrafinowany barok pieszczot. Cisza
rozwinęła się jak film, pełen wyzywającego, draż-
niącego czaru.

Zamieniłem się cały w nwyd, w lęk, w po-
kuse, — i na tamten, platoniczny nasz wieczór
spojrzałem gniewnem, zawiedzionem spojrzeniem.

Żywa wieś.

Władysław Orkan: „Listy ze wsi”. Tom
II. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1927.
Str. 188.

Drugi tom „Listów ze wsi” odchyła się
dość znacznie od linii wytyczonej pierwsze-
go, będąc jego dopełnieniem i uzupełnie-
niem, nie jest jednak jego „ciągłem dal-
szym”.

Gdy bowiem w pierwszym tomie „Li-
stów” uwagi i spostrzeżenia Orkana odno-
szą się wyłącznie do Podhala, (przeżycione
na gruncie np. ziem krakowskiej nie mają już
prawie racji bytu) — w drugim ich tomie
nawet wtedy, kiedy jest mowa o wsi pod-
halańskiej śmiało odnieść je można do wsi
laskiej, kiedy mowa o góralu — do chłopca
wogóle.

To poszerzenie zakresu w nowym to-
mie „Listów” idzie w parze z drugą pozor-
nie mało znaczącą, a jednak ważną zmianą:
w większości ich stara się Orkan ograni-
czyć do podawania wybranych faktów.
Wnioski z nich niech wyciąga już sam czy-
telnik! — Bardzo racjonalne i wychowawcze
stanowisko: zbliżanie czytelnika do książki,
zachęcanie do współpracy, nietrudnej cpra-
wdą, ale bądź co bądź dającej mu pewną
satisfakcję.

Niesposób, z powodu braku miejsca, omó-
wić wyczerpująco wszystkie listy, zawarte
w tej książce, tak, jak na to zasługują. Zwrac-
cam tylko uwagę na dwa, do rzadko Rzeczy-
pospolitej, wystosowane: „Nad kołem niedzi-
i powodzi” i „Zapomogi”. Usłuchanie rad i
wskazań w nich podanych, niezwykle roz-
sądnych i łatwych do spełnienia, wielkiejby,
co roku powtarzającej, się niedzi, zapobie-
gło.

Mało jest książek, łączących w sobie, w
taki idealny sposób „utile cum dulci”. — „Li-
sty ze wsi” wyszły z pod pióra naprawdę
świątecznego stylisty i — to nie żadna po-
chwalna poklepanka... — świętegożnawcy
wsi. Nieodzwonne są też dla wszystkich,
chcących mieć o żywej wsi żywe pojęcie.

M. S.

Z teatrów warszawskich.

„Wieża Babel”.

Teatr Polski: „Wieża Babel”, dramat w
3 aktach Antoniego Słonimskiego; reżyseria
L. S. Schillera, dekoracje Tadeusza Gronow-
skiego.

„Wieża Babel” jest bądźco bądź ewene-
mentem godnym uwagi w okresie posuchy
na ugorach polskiego dramatu współczes-
nego, grzeźnącego w absolutnej bezpłodności
i apatii. Już tedy jako samo wydarzenie, ja-
ko sam wysiłek twórczy, podjęty śmiało i z
szerokim gestem, winna poruszyć opinię, ścia-
gnąć na widownię Teatru Polskiego zaintere-
sowane tłumy i obudzić żywą dyskusję w
ruchliwej rodzinie literatów i krytyków. Do-
prawdy w epoce drobnego rzemiosła litera-
ckiego przykładać należy każdej próbie
twórczej, która odbiega od szablonów, rwie
się ku szerokim przestrzeniom i usiłuje budo-
wać dzieła o wielkich wymiarach na ruszto-
waniu równie wielkich problemów.

Przyjrząwszy się bliżej debiutowi drama-
tycznemu Słonimskiego napotkamy szereg
zasadniczych kontrastów, plusów i minusów,
światła i cieni. Nie umniejszając bynajmniej
zasługi autora, która jest próbą dźwignięcia
repertuaru polskiego na wyższy poziom, nie
zapominając doniosłości i szlachetności prze-
pajającej dzieła idei oraz pracy intelektual-
nej, która sięga do rdzenia problemów spo-
łecznych dnia dzisiejszego i jutra — nie mo-
żemy przeoczyć wielu wad utworu, do któ-
rych należy przedewszystkiem wadliwa kon-
strukcja sztuki, przeciążenie jej nadbudówka-
mi lamującymi bieg akcji i wylakaniem pro-
stoty problemu, oraz niekonsekwencja, która
objawia się wielokrotnie, najjaskrawiej je-

dnak w sprzeczności uniwersalistycznej wizji
ludzkości i indywidualistycznego nadczło-
wieczeństwa Thompsona. Prócz tego za
wiele tu niejasności i legendy, za wiele słów,
mocno trącających komunalami. One to spr-
wiają, że sztuka, która samym naporem za-
gadnienia każe się rozważać przedewszyst-
kiem na płaszczyźnie myśli, która ją przepaja
— robi chwilami wrażenie nieprzeżytej, nie-
przemysłanej do końca. Nie wyrosła ona
spontanicznie z warstwy osadu mózgowego,
jaki uzbierał się po wielkich przypiływach
uporczywej pracy intelektualnej. Jej miąższ
nie jest przetrawiony, wessany, przerebiony
na tkankę słów i czynu. Niejednokrotnie jest
on raczej przypadkowy, luźnie związany i
dlatego daleko mu do odlewu z jednej bryły.
Jeżeli myślę się w tem przypuszczeniu, jeżeli
autor przemyslał rzecz rzetelnie, to w takim
razie zawczasie ją napisał.

Język świetny, czasem aż iskrzący poezją,
a chwilowe załamania i banalności wynikają
chyba tylko z niemożliwości utrzymania się
przez tak długi okres czasu na wyżynie je-
dnakowego napięcia; poprostu przejściowy
brak oddechu. Wspaniałe są ustępy takie,
jak opowiadanie ślepego robotnika na począt-
ku 3-go aktu. Jak zwykle zresztą, wiersz
w dramacie nie przyczynia się i tu do wy-
świetlenia tekstu, czemu winni są w dużej
mierze aktorzy.

Inscenizacja Schillera potężna i porywa-
jąca, dochodzi czasem do takiego patosu i ta-
kiej dominacji, że przytacza, przekształca i
usuwa w cień właściwe oblicze utworu.
Czytając dramat widzi się dopiero dokładnie,

o ile inscenizacja ta (wspomagana kapitalne-
mi dekoracjami Gronowskiego) czyniła
„Wieżę Babel” przejawem siły i ekspresji. Specjalnie je-
żeli chodzi o dynamikę, to zdaje mi się, że
talent Słonimskiego kalkulatywny, chłodny
i mało krwisty, zyskał na prężności, przybie-
rając formy żywiołowego, wybuchowego pa-
tosu.

Trzeci akt najłabszy, a finał zawieszony
w próżni. Ta końcowa litanja, choć tak
wniosła i pełna szlachetnego człowieczeń-
stwa jest akordem zbyt przytłumionym po
rozpętanej grozie 2-go aktu. Sądę też, że
p. Schiller w swojej reżyserji zapomniał tu
o jednym, a mianowicie o stopniowaniu na-
stroju, łapiąc odrazu najcięższy nabój w lu-
fę. Poza tem każda grupa z osobna, każda
nowa kombinacja światła i ludzi, każde no-
we ustawienie mas robotniczych (w 2-gim
akcie) jest poprostu wspaniałe, jednakże gdy
powtarza się to kilkanaście razy z rzędu,
musi wywołać uczucie przeladowania, prze-
ciągnięcia struny.

Artyści popisali się nie najlepiej. Ani p.
Boelke (Thompson), ani p. Samborski (Jeff-
ries) ani p. Kunciewiczówna (Eliza) nie sta-
nęły na wysokości zadania. Garbus Mixt był
postacią najbardziej przekonującą i o sil-
nie zarysowanej sylwecie dramatycznej.

J. B.

* „Wieża Babel”. Antoni Słonimski. Warsza-
wa 1927. F. Hoelsick.

Z teatrów krakowskich.

Teatr Miejski im. Słowackiego.

„Revolucja w Porto Banos”, awantura
komiczna w 3-ach R. Hardinga i J. Davis.
„Lato”, komedia w 3-ach Tadeusza
Rittnera.

Typowy bluff amerykański ta cała
„Revolucja w Porto Banos”. Dużo krzy-
ku, dużo prostodusznych efektów komicz-
nych, dostosowanych zapewne do poziomu
publiczności za Oceanem, dużo miotania się
i biegania; nie brak nawet huśtania się na
żyrandolu. Coś, jak w amerykańskiej farsie
kinowej, tylko że na ekranie wygląda to nie-
co lepiej. Bezspornie to budzi była wie-
sola; pękając ze śmiechu widz mruczał je-
dnak pod nosem: „ależ to głupie!” Autor
mógł być uratować sytuację, gdyby podkre-
ślił wyraźniej moment satyry na opersko-
wo-rewolucyjno-środkowo-amerykańskie. Sa-
tyra ta jest stanowczo zbyt niedołężna
i ostrze jej nie przebija się przez hałaśliwy
bałagan akcji.

Zato aktorzy zrobili co mogli. P. Miłski

(Brooke Trawers) pełen werwy, ruchliwy i
zwinny, prowadził tempo, którego szybkość
dowodziła zgrania i brawury zespołu; pp.
Kłofska (Juanita) i Kostecka (Lucy Sheri-
dan) były bez zarzutu. P. Karzewski (plk.
Bowie) budził pewne zastrzeżenia, a p. Ko-
mornicki (General) pokazał nam szarżę...
amerykańską. Mimo, że wszystko to razem
wypadło nieźle (głównie dzięki dobrej reży-
serji p. Niewiarowicza), nie uważałbym za
pożądany objaw, gdyby teatr krakowski da-
wał nam zbyt często takie kawały.

„Nareszcie dobra sztuka” — oddychało
się z ulgą na premierze „Lata”. Po wszyst-
kich zgrabnych lub nieudanych farsach za-
granicznych miło jest zwilżyć usta haustem
tegoż, rzetelnego repertuaru. „Lato” jest
nie tylko, rasowa, nieposzlakowana komedia,
dziełem głębokim (a mało docenionem) ta-
lentu, a i powiewem szlachetnej poezji, ja-
ką wyczuwa się z drżeniem cichego wzru-
szenia pod powłoką komediowej intrygi.
Poezja ta pulsuje zwłaszcza w 2-gim akcie
z taką siłą, że sugeruje aktorów i „bie-

rze ich” swoim czarem. Tu mogą się wy-
grać, tu ujawniają się ich talenty, poruszono
poczuciem wysokiej wartości sztuki odda-
nej im w ręce.

I dlatego to wytrawna reżyserja p. No-
wakowskiego i dobra inscenizacja wraz z
nieprzeciętną grą artystów dały nam na
premierze „Lata” tak godne pochwały wido-
wisko. Dlatego tyle w niem było harmonii
i tyle akordów, które zdawały się być echem
dawnych dobrych czasów teatru krakow-
skiego.

Pogratulować można p. Sawicki wy-
wiązania się z roli Torupa i to właśnie w
2-gim akcie, w mocnych akcentach i gestach,
do których, jak się mniemało ogólnie, mniej
jest predysponowany. P. Sosnowski był do-
skonalszy; rolę doktora-jakąś umiał tak za-
grać, że nie uczynił go śmiesznym.

Do sukcesu sztuki przyczynili się wale-
nie pp. Starska (Maja), Hańska, Bednarzewska,
Czartorzyska i Zalewska, P. Suchocki za-
pełnił dobry. Alinka Orkanówna zbierała
istne burze oklasków.

J. B.

Z poetyckiego kalejdoskopu.

Kazimiera Alberti: Mój film. Warszawa 1927.
nakł. Hoelsicka.

Ze wszystkich przytoczonych poniżej tomi-
ków poezji (których obecny sezon przynosi aż
nazbyt wiele) książka Kazimierza Alberti za-
sługuje najwięcej na uwagę. Wprawdzie, tak jak
większość krzewiącej się dziś tak bujnie poezji
kobiecej, nie dorasta nawet do kolan mistrzyniom,
których jest odzworem, a zwłaszcza Illakowi-
czówny — jednakże z łatwością balansuje słow-
wem, jest strojna i mieni się efektami barw i
dźwięków. Obok dobrych wierszy jest wiele
talich, których wcale nie należało zamieszczać
w zbiorze (n. p. „Maskarada”), ale te dobre, ce-
chujące gładki wiersz i giętki rytm, a przytem za-
lotna nonszalancja gestu, która sprawia, że nie-
które strofy muszą się podobać „i do głowy”,
jak wino. Gdzieś tam raz mdy zapach uper-
fumowanego szablonu i kolorowy, obrazkowy
egzotyzm. Naogół brak seroznego oddechu. Bań-
ki mydlane są śliczne, jak cacka tęczowe, ale
wewnątrz puste i wrażenie ich trwa przez tych
parę sekund, póki nie pękna.

Bez porównania słabsze są dwa następne to-
miki niewieście, a więc „Rok Boży” Wandy Mi-
łaszewskiej (Warszawa 1927, nakł. F. Hoelsicka)
i „9/10 przeciw 1/10” Marii Kasterskiej (Warsza-
wa 1927, nakł. F. Hoelsicka). „Rok Boży” to
oczywiście 12 miesięcy, a — co za tem idzie —
12 miłych wierszyków o marcu, kwietniu, maju,
czerwcu i t. d. aż do lutego. Z prawdziwą przy-
krością stwierdzić trzeba, że utwory te nie doru-
czą do skarba literatury, ani jednej, najdrob-
niejszej perełki. Wszystko składa się w nich na
plytkość i naiwność, zarówno nie trudna do od-
gadnięcia z samego tytułu treść (bo to w lipcu
lipy i pszczoły nad lipami, a we wrześniu „ba-
bie lato”, a w lutym śnieg i kraczące kruki), jak i
niewyszukana forma (oklepne rymy, brak cie-

kawych przenośni i rytm wciąż jednaki). Jedyne
wiersz p. t. „Październik” wyróżnia się dodatnio
z czeredy pozostałych.

Z za kulis teatru.

(Artur Schroeder: Awantury teatralne. Ry-
sunki Kazimierza Kostynowicza. Łwów. Za-
kład Narod. im. Ossolińskich, 1927. Str. 185).

Feljeton literacki, będący pierwszorzędną
atrakcją dziennika, mimo swoją wysoką nie-
raz wartość, obraca się zazwyczaj koło zagad-
nień aktualnych, i dla przypadkowego czy-
telnika późniejszego wymaga mierzal obzer-
nych komentarzy. Stąd też słynne nawet w
swoim czasie feljetony giną w niepamięci po-
koleń następnych. Zapomniano dziś doszcze-
tnie o cieszących się wielką poczytnością w
drugiej ćwierci wieku XIX feljetonach ks.
Placyda Jankowskiego, pisującego w prasie
wileńskiej pod pseudonimem John o Dycalp.
Pamięć o znakomitych feljetonach Prusa i
Sienkiewicza z ostatniej ćwierci wieku XIX
zachowała się ze względu na zasługi ich au-
torów, jako twórców powieści polskiej. Ze
współczesnych naszych feljetonistów zape-
wne tylko Boy-Zeleński zostanie na zawsze
w historii literatury polskiej, ale tu znowu
za „głównie jego dzieła będą uważane prze-
kłady arcydzieł francuskich i niemniej świe-
tne do nich wstępy.

Tę tak nietrwałą formę feljetonu wybrał
Artur Schroeder dla swoich wspomnień b.
sekretarza generalnego i kierownika literack-
kiego Teatrów miejskich we Lwowie, wy-
danych obecnie w bardzo ciekawej i z wiel-
kim humorem napisanej książce. Jeśli po-
miniemy nieznanego dziś Dycalpa, to łatwo
poza tem odnajdziemy cechy, łączące fel-
jetony Schroedera z feljetonami Sienkiewicza
i zwłaszcza Makuszyńskiego, które wszyst-
kie razem mają swe wspólne pokrewieństwo
z Dickensem, wywodząc się od niego w pro-
stej linii. Wspominam o tych związkach dla-
tego, aby zwrócić uwagę na niepoślednią
wartość omawianej tu książki. Nie wnosi
ona nic nowego, ale może poraz pierwszy
opowiada czytelnikowi tak obszernie i tak
zajmująco o teatrze, oglądanym od w-
wnątrz. Autor kilku tomiów subtelnych no-
wel, paru wytwornych zbiorów poetyckich
i wybitny krytyk sztuki daje się tu poznać,
jako świetny narrator i wytrawny humorysta.
Stąd też jego „Awantury teatralne”
czyta się jednym tchem. Szczególny posmak
ma przypomnienia opinii potentata prasy
lwowskiej Dobrzańskiego o Modrzejewskiej:

Maria Kasterska oddała sobie swoją „Przed-
mowa” jak najgorszą przysługę... „Przedmowa”
ta napisana dość mętnie i z powagą odkrywają-
cą Amerykę, zaciekała nas jednak i każe się
spodziewać od wierszy mających ją ilustrować
i dopełniać, Bóg wie czego. Tymczasem napró-
żno szukalibyśmy w nich tych „walk i mak w
głębi podświadomości 9/10” naszej duszy, które
zapowiada autorka. Kiepski, banalny wiersz ma-
jący niewyraźnie tarzający się smutnie po wy-
świechtanych rymach. Myśl zasadnicza nie wy-
świetla się, treść jest nieuchwytna. W każdym
razie trudno odkryć związek tych wierszy z po-
dświadomością. A jednak gdyby nie owa, szumna
zapowiedź „Przedmowy” można by się w nich
doszukać niejednego dobrego fragmentu.

Bronisław Iwanowski. Serce gramofonu. War-
szawa 1927. F. Hoelsick.

Ta oryginalna książeczka została nieco skrzy-
wiona zbyt bezwzględniemi krytykami. Przyczyni-
li się do tego zapewne w znacznej mierze ów
nieszczęsny, złośliwie przekreślony tytuł. Praw-
da, że styl tych poemacików prozą raz naciąg-
nięta, nieszczerą ekscentrycznością i całemi sno-
pami nieprzekonywujących przenośni, porównań
i frazesów, prawdą, że dogorywa tu napuszona,
bombastyczna futurobna z przed lat 7-miu i
6-ciu — jednakże, jak na debiut, wiele tu jest
ziarn, które się wyczuwa i przeczuwa pod nie-
zachęcającą powłoką. Język poetycki tych utwo-
rów jest przy całym pozowaniu na dziwactwo
miejscami nawet brawurowy, a w każdym razie
elastyczny i mowny. Fragmenty w dialogach cał-
kiem bez wartości. Zato takie, jak „Gra w pił-
kę”, „Dom”, „Golem” są bezspornie interesu-
jące. Krótkie, telegraficzne zdania są spóźnio-
nym odbyskiem Marinetti’ego...

Rysunki Gronowskiego doskonałe.

J. B.

„Głos lichej, mały talent, może kiedyś będzie
mogła występować w drugoplanowych ról-
kach w lekkich sztukach.” — „Widzi pani —
mówi Schroeder — Modrzejewskiej to wy-
pisał największy przed 50 kilku laty redak-
tor, którego jednak Bóg przedko pokarał, bo
sam był dyrektorem teatru i wściekał się
potem na prasę!” A Modrzejewska, jak pani
wie... — Tak, tak — wtrąca reżyser —
wszystko się zmienia, tylko recenzent nie.
Jest jak pchła: nigdy nikt nie wie, na kogo
skooczy!”

Pozwólę sobie tym razem być recenzentem,
który nie „skacze”.

Kazimierz Czachowski.

JAN SZTAUDYNGER.

Błędny pościg.

Przegalopują konie przez zmykającą przestrzeń.
Poly surdutów chlasną zbłąkaniemi powietrze
I tam gdzie drzewa znaczą kreskami ledwie
horyzont,
Tam będą w błędnym pościgu wędzidła twarde
gryząc.

Słońce na blachach ozdób przelotne lampki zapali,
Kopyta w ziemi zostają i białe piany banieczki,
Sylwety ostrym konturem wezra się w bezsens
dali,

A konie za to dostaną owsa i worek sieczki.

Każdy bieg jest bez celu, bez celu każde zostanie,
Nie nie przynosi pokój, nie nie przynosi wojna,
Krew z mej rozbitę głowy została kiedyś na
ścianie,

A teraz taka spokojna, taką zupełnie spokojna.

Szaleństwo będzie ucieczką, szaleństwo będzie

lekciem,
Jakaś idea wielka, w którą się wreszcie uwierzy,
Ważnie się serce swoje, jak pióro ptaszące

lekkie
I w niebo twarde milczeniem, jak ostrą strzałą

uderzy.

WŁODZIMIERZ MYHAŁ.

Wieczór.

Tadeuszowi Kościukowi.

Rodzą się w nieznanym świecie młde owoce
zmierzchu —

Stygna w objęciach spokoju — stare, smutne

słowa...

Odlatują w kraj jasnych, lechających przewidzeń
westchnienia wieczorne... jak spłoszona sowa.

Bezpośredniość mdlejąca w ekstatycznych pozach
chwil — jak zórawie — nadciąga zmniejszeniem —
To co zmarło w sekundach — przelotnych spoj-
rzeniach —
o północy chwastem wyrośnie — przeczępiem.

Drzewa pełnią uczuć niesklamanych dojrzałą
i wydłuża się jak strachy w mitach konające —
Samotność w gwiazd czujność wsi się — mi-
łosna —
Sen ciepły rozmodli bżów wonie... marzące... —

Świąt rozdanie bóg światem. W lunatycznych
okowach,

skrzepnie cisza do reszty — i w wiersze było

zmieni —

U progu myśli stanie — Bóg — jak stróż przy

bramie,

w dziwnym, czarnym zawoju z drzemającej zie-
leni...

Uśmiech.

Płoną myśli... Zarzewia dni długich, jak wieki,
milijonem iskier czczą echa o skrytej miłości...
Blady uśmiech w żalobie z trumien twarzy
gnijących

wstaje gorzka wyrocznia — symbolem nicości...

Nie będzie to ani ranek, ani wieczór rżący
wśród niemych zachwyceń spowiedzi tajemną,
gdy na ustach świata, wyczerpany złudzeniem —
odpocznę uśmiech nierzwaną kamienną...

Słowa gna się do ziemi — jak drzewa wśród

burzy,

brzemieniem spojrzeń sztydzących hańbione —

Nie tak nie boli, jak uśmiech wzdargliwy:
chwilę śmień złotych... na zawsze... stracone...

Mimochodem . . .

Czy dziś już inaczej.

W szóstym roczniku kasy im. Mianow-
skiego „Nauka Polska” znajduje się cenna
autobiografia p. F. B. „Drogi mojego roz-
woju umysłowego”. Czytamy tam między
innemi: „Gimnazjum w Bochni, do którego
mnie ojciec zapisał... w roku 1836...
przedstawiło się karykaturalnie... Nau-
czyciel, polskiego potrafił przychodzić do
klasy pijany już o ósmej rano i drzeć na
katedrze, każąc uczniom czytać kolejno
ustępy z książki. Niewiele lepszym od nie-
go pedagogiem był młody suplent, który
wprawdzie nigdy ta nietrzeźwy nie przy-
chodził do szkoły, ale umysłowo niedosta-
ecznie rozwinięty, moralnie słaby, a życio-
wo zupełnie nieporadny był pośmiewiskiem
już dla uczniów pierwszej klasy. Naucz-
ciel łaciny, niestęchający brutal i pasjonat, za
drobne pomyłki w recytowaniu na pamięć
wierszowanych reguł gramatycznych prze-
zywał, szarpał za włosy, okładał kijem i ka-
zał przepisywać po 300 nawet razy pomy-
loną odmianę lub regułę gramatyczną. Gor-
szy jeszcze od niego był nauczyciel geo-
grafii, który znajdował przyjemność w sia-
niu przerażenia na całą klasę straszliwym
głosem, haniebniemi przezwiskami i wale-
niem kantom książki po głowach”.

Tak było czterdzieści lat temu. Ale zda-
je się, że i dziś...

„Wieżę Babel” budował nacionalista . . .

Leży przedemną „Wieża Babel”, dramat
Słonimskiego, który tyle narobił hałasu.
Znajduję tam słowa tajemnic

O prawdziwa „władzę nad światem”.

Bruno Winawer. Boczna antena. Serja 2-ga. Biblioteka groszowa. Okł. T. Gronowskiego.

Strukturą umysłu, szlachetnym pozytywizmem ideału, oraz gatunkiem niezrównanego humoru Winawer przypomina ogromnie Prusa. Jest entuzjasta, urobionym w atmosferze tej doskonałej, rzadkiej radości, jaka nadaje ton wewnętrznym ludziom, zażyłym w kontakcie z wiedzą ścisłą. Ten właśnie entuzjazm wnosi Winawer — jedyny bodaj z piszących dziś w Polsce — do naszej literatury, która — jak wiadomo — zezem niechętnym patrzyła zawsze na, i jakże publicknie jej w istocie rzeczy, dziedzinę twórczości naukowej i technicznej.

Pomyślmy tylko: czyż u źródeł wszelkich, prawdziwie twórczych poczyniń zarówno w poezji, czy muzyce, jak i w matematyce, lub fizyce nie rządzi jedna, wspólna siła **inicyjatywna** — i czyż ta siła najistotniejszą twórczą nie jest — **wyobraźnia**?

W „Bocznej antenie” Winawer skromnie ograniczył swą pracę do roli czynnego redaktora „ostatnich biuletynów z frontów wieczystych”, z frontów współczesnej wiedzy i techniki. W epoce, w której nawet „uniwersalista”, J. N. Miller hołduje psychozie sportu, stawia bokserów, futbolistów i oficerów kawalerii, tudzież upatrując w „imperjalizmie” muskułów i w tancie „rekordowej” ambicji lekkoatletów... nowa „zdobywca” postawę wobec życia — w epoce śmiesznych, jednoludniowych triumfów i globalnej znakomości Nurmich, Breitbartów, Peltzerów i — żał się Boże! — panien Lenglen — w epoce tej jakże mało, jak upokarzająco niewiele wiemy o tych rozległych, mądrych „frontach”, na których istotnie zdobywca, tworząca postawa wobec życia i świata polega nie na **współzawodnictwie** i liczej ambicji cwałujących w „biegu na przelaj” dwunogów, ale na **współpracy i współdziałaniu** najszlachetniejszej armii ludzkości, tej armii, na której czele stoją skromni i cisi, a jakże świetni wodzowie: Rutherford, Michelson, Siegbahn, Einstein, Edison, Marconi, Bohr, Kammerlingh Onnes i tyłu, tyłu innych!

Nie! Można pojąć do pewnego stopnia emocje sportowe, można o nich nawet pisać doskonale i zajmujące wiersze — ale wypadła przedewszystkiem stwierdzić, że potężne problemy i znakomite prace, o których zwycię i sumiennie zdaje sprawę „Boczną anteną”, są o cały wymiar ludzki donioślejsze i ciekawsze od grzmiących oklaskiwanych przez tłumy sukcesów „ringu”, stadionu, czy toru wyścigowego. O tem potrzeba, bardzo potrzebna u nas książka Winawera mówi na każdej stronie — a mówi tak przekonująco i tak sugestywnie, iż, czytając ją, uczujemy rosnącą w nas i utwierdzającą się gruntownie zdrową wiarę w człowieka, wiarę w naszą, ludzką, przyszłość i w naszą **prawdziwą „władzę nad światem”**. **E. Kr.**

Nareszcie!

J. L. Lasky, prezydent Paramounta, potentat filmowy Ameryki wygłosił na zebraniu wytwórców i reżyserów filmowych sensacyjne przemówienie, którego główne myśli przytaczamy poniżej:

„Nie damy się dłużej olśniewać fałszywym blaskiem nazwisk, któreśmy stworzyli.

Nie pozwolimy dłużej blokować postępu przemijającą glorią tradycji.

Nie chcemy dłużej tłumić nowych prawd, otwieramy drzwi młodym twarzom, młodym ideom, młodym siłom.

Obojętne, kto jest gwiazdą, obojętne, jak sławny jest reżyser, możemy tylko powiedzieć, że mają pracować, pracować na nasz sposób albo iść precz.

Obojętne dalej, jak brzydka jest osoba, obojętne jaka młoda, jeżeli tylko ma talent, jakiego potrzebujemy, to witamy ją radośnie i dajemy wszelką sposobność, do wygrania się.

Komu się to nie podoba, może sobie iść precz.

Nie będziemy więcej niewolnikami artystów.

Naszą zasadą jest odtąd nie hodować wielkich nazwisk, lecz z odwagą młodości walczyć o przyszłość, o nasze ideały”.

Tako rzecze Lasky.

Czyżby to był świt, początek nowej ery w mentalności filmowych businessmenów? Czyżby nareszcie film wyrwał się ze starczego uwiązania, na który coraz silniej zamierał, i czyżby wreszcie miano skierować twórczość a raczej produkcję filmową na właściwe drogi?

Oby! Oby mowa tego jednego z najmłodziej młodszych ludzi filmu była bogata w konsekwencje.

Narazie nie przeszkadza nam nie przypuszczać, że nie będą to tylko cześć frazysy, ale siowa, za którymi pójdą czyny. Głębiej więc zważywszy, dochodzimy do przekonania, że idee te są nie tylko piękne, ale też i... sprytne. (Trzeba nadmienić, że mowa ta była podobno inspirowana przez finansistów). Zawrotne bowiem gaże aktorów, skaczące w nieskończoność, miliardowe inwestycje etc. nie dawały żadnej rekoim finansowego ani tem mniej artystycznego powodzenia filmu i sprzykrzyły się już nareszcie wytwórcom; szukają więc nowych dróg, rentowniejszych. Jest nią tylko droga dobrego, literackiego i specyficznego filmu. Było do przewidzenia, że się pierwiej czy później na tę drogę zwróci. Jest to jedyna droga postępu.

Komedje z Colleen Moore i Raymondem Griffithem.

Obie znakomite! Teraz dopiero widzę, co da się zrobić z komedją sytuacyjną. Komedje amerykańskie można by bowiem podzielić na chaplinowskie (od imienia ich twórcy) do których zalicza się i Buster Keaton i Harold Lloyd — i sytuacyjne. Komizm tych tkwi w sytuacji i grze aktorów, tamte działają komizmem, który nazywałbym komizmem rzeczy, nacechowanym silnie groteską i czystej wody nonsensem. Zbyteczne chyba podkreślać, że te ostatnie stoją o niebo dalej wyżej od tamtych.

„Jak została primadonna” jest komedją sytuacyjną. Pomysłowo i niezwykle dowcipnie pomysły i przeprowadzony scenariusz daje przedewszystkiem pole do popisu roli głównej. Gra ją Colleen Moore. Jest to aktorka inteligentna, o doskonałej zwłaszcza dzięki wyrazistym, wielkim oczom, mimice, soczystą i 100 procentowo komizną. Najlepsza w tym filmie jest może scena, kiedy tańczy ona z reklamą taniec Coogana, jest ona jednak żywcem ściągnięta z chaplinowskiego tańca Izadory Duncan („Gorączka złota”).

Druga komedja „Tajemnicza podwiazka” z Raymondem Griffithem jest już ekscentryczną groteską. Aktorka tego upoczywicie nazywa się amerykańskim Maksem Linderem. Jest to równie bezpodstawne, jak i pochlebne dla niego. Niemniej jednak jest to sympatyczny i dyskretny komik. W powyższym filmie ma on zresztą bardzo wdzięczną rolę, której też nie pozostał nic dłużny.

Oba omawiane filmy nie są ani „epokowymi” ani „szczytowymi”. Są to, że się tak wyrażę, filmy na codzień. I tu stwierdzić trzeba jedno: Ameryka ma wysoko postawione domy i kulturę filmową. (Wiecej niestety nie!) Podziwiać doprawdy trzeba, z jakim smakiem i swobodną techniką są zrobione te dwa filmy, co mają stanowić tylko codzienną strawę repertuaru kinowego. A u nas? Osm lat musieliśmy czekać, aby w końcu dostać... „Tredowatą”. Z góry gęszciarzy, reklam, komunikatów, gwiazd i gwiazdorów rodzi się u nas pokraczna a niepotrzebna myszka. Kiedyż wreszcie nasze rodzime łchory zastąpi rzetelna i uczciwa twórczość filmowa?

Pen.

O kinie i z kina.

Elżbieta Bergner w Ameryce.

Genjalna Elżbieta Bergner została zaangażowana do Ameryki dla kreowania toisto-jowskiej „Anny Kareniny”. Pracę jednak nad tym filmem musiano przerwać z powodu konfliktu między reżyserem Buchowieckim a hr. Ilią Tolstojem na tle istotnej kwestji scenariusza. Hr. Tolstoj twierdził mianowicie, że przeróbka wypaczyła zupełnie oryginał.

Erenburg siłmowany.

Kończy się obecnie film przerobiony z Erenburga powieści p. t.: „Miłość Joanny Ney”. Rolę tytułową gra Brigitte Helm, znana z „Metropolisu”. **Pen.**

Piscator w filmie.

Ostatnio wstąpił się w Niemczech znakomity reżyser teatralny Piscator. Wystawił on „Zbójców” wysuwając samych zbójców na pierwszy plan, tak, że powstała z tego sztuka rewolucyjna. Sprawa stała się tak głośna, że oparła się nawet o parlament. Następnie wystawił Hamleta, który w jego inscenizacji stał się satyrą na monarchję.

Obecnie Piscator został pozyskany dla niemieckiego filmu p. t.: „1848”.

„Tkacze na ekranie”.

Sfilmowano Hauptmanna „Tkaczy”. Reżyserował Zelnik, mąż Lyi Mary i reżyser jej obrazów. W liście otwartym podziękował on Hauptmannowi za zaszczyt, który mu przypadł w udziale. Prasa berlińska rozplywa się nad tym filmem w samych superlatywach. Sądząc jednak po Zelniku, tylko solidnym rytyniście, nie będzie to epokowe arcydzieło.

Zyski z „Gorączki Złota”.

Podczas niedawnej rozprawy sądowej, kiedy badano dochody Chaplina, okazało się, że ogółem na „Gorączce Złota” zarobiono dotychczas 2 224 000 dol., z czego Chaplin sam otrzymał 75%, co wynosi skromną sumkę 1 668 000 dolarów.

Jannings jako murzyn.

Obecnie planuje się już w Hollywood trzeci film z Janningsem. (Pierwszą amerykańską kreacją Janningsa wyświetała już berlińska ekran). Ma on nosić tytuł: „Król Kanibalów”. Bohaterem jest naczelnik szczepu murzynów afrykańskich.

Jannings podobno zdaje sobie dobrze sprawę z ryzyka, jakie połączone jest z tą rolą. Przemysł filmowy bowiem, znając barbarzyńskie poglądy Ameryki w tym względzie jest zdania, że murzyn nie może absolutnie być bohaterem jakiegokolwiek filmu.

Jannings natomiast sam nie ma najmniejszej ochoty dreptać wydeptanymi ścieżkami, pociągając go zawsze rzeczy nowe.

Polki Negri nowe filmy.

Polka Negri ostatnio zdaje się specjalizować w wojennych filmach. Niedługo przypuszczalnie ujrzymy jej doskonały podobno film „Hotel miasto Lwów”. Obecnie ukończyła już drugi film na tle wojny światowej p. t.: „Druć Koleczasty”, zabarwiony bardzo silnie pacyfizmem. W czerwcu zaczyna się w Hollywood naświetlać nowy film p. t.: „Wiedzieli, czego chcą”.

Amerykańska „Manon Lescaut”.

W Ameryce siłmowano również „Manon Lescaut”, główną rolę męską kreuje sławny John Barrymore. Niedawno było już dwusetne przedstawienie tego obrazu. Za względu na niemiecką „Manon Lescaut”, zmieniono tytuł na dłuższy, ale za to głębszy: „Kiedy mężczyzna kocha”.

Kronika.

Z beletrystyk francuskich: 1) Pierre Dominique: Selon Saint Jean (powieść, wyd. Grasset), 2) Jacques Fontelroye: Ayer pitie de ceux qui s'aiment (powieść, wyd. Channan-Levy), 3) Martin Maurice: Nuit et jour (powieść, N. R. F.), 4) Jean Guyon Cestron: La plus belle conquête (powieść, A. Michel).

„Europe” z dnia 15 maja 1927 zawiera pierwszą część studium Romain Rollanda: Goethe et Beethoven.

Panaíta Istrati'ego „Isaac, le tressaieur de fer” ukazał się w wydaniu luksusowym (J. Heissler).

H. de Montherlant „Sans remede” ukazał się w wyd. Tremois.

Z teki powieściowej współczesnej Italji. 1) Alessandro Varaldo: Il covo. Milano, Mon-

dadori. 2) Riccardo Bacchelli: Il dia, lo al Pontelungo. Milano, Ceschina. 3) Federico Nardelli: La panarda. Milano, Treves. 4) Clarice Tartafari: La nave degli eroi. Foligno, Campitelli.

O Carducci'm monografię napisała Beatrice Sposato: L'evoluzione poetica di Giosue Carducci. Firenze, Vallecchi.

„La commedia dell' arte” (historia, technika i scenariusze tego ciekawego, typowo włoskiego rodzaju nieistniejącej już dziś komedji) zebrał Enzo Petraccone (wstęp B. Croce'go). Wyd. Napoli „Ricciardi”.

G. Gentile'go: Frammenti di storia della filosofia, serje prima (Lanciano, wyd. Carabba) zawierają siedemnaście artykułów, recenzji analitycznych i krytyk dzieł filozoficznych pióra znanego włoskiego myśliciela.

Od Redakcji.

W związku z zamieszczoną w poprzednim numerze zapowiedzią wydania przez komitet uroczystości sprowadzenia zwłok Słowackiego, specjalnego numeru „Gazety Literackiej”, zawiadamiamy naszych czytelników, że niestety komitet z powodu braku własnych, a nieprzydzielenia mu rządowych funduszy nie będzie się mógł zdobyć na powyższe wydawnictwo.

Mimo to redakcja „Gazety Literackiej”, uważając za swój obowiązek, wbrew związanym z tem trudnościami, zamianifestowanie hołdu literackiego Krakowa w tak wielkopomnej chwili, podejmie sama to zadanie i — stosownie do zapowiedzi — wyda w przeddzień uroczystości numer specjalny o bogatej treści, znacznie zwiększonej objętości w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy.

Cena powyższego numeru pozostanie bez zmiany.

Czasopisma nadesłane.

Skamander nr. 49 zawiera: wiersze Leopolda Staffa, A. Stonimskiego, Włod. Słobodka, St. Balickiego, Ireny Tuwim, Miecz Brauna, J. Iwaszkiewicza, M. Jastruna, Paczkowskiego i J. Lieberta, Proze: J. Wittlina, M. Kuncewiczowej.

Droga nr. 4-5 zawiera art.: K. Balmont — Poeta duszy polskiej Jan Kasprzowicz; A. Skwarczyński — Estetyka Słowackiego; St. Schayer — Mistycy i reformatorzy późnego hinduizmu; St. Zahorska — Martwość kulturalna a idea; i in.

Przegląd księgarski nr. 10 zawiera art.: Egze-

kucia ciemnoty; H. Lopeński — O szkodnikach w życiu księgarza; H. Orsza-Radińska — Rola księgarza w organizacji czytelnictwa; i in.

Lot Polski — zawiera art.: W. Dąbrowski — samoloty na usługach rolnictwa; P. Bołsunowski — Aeronautyka chińska; Podbój Atlantyku; i in.

— „Orlatka”. „Orleta”. Sympatyczne i użyteczne dwutygodnik dla dzieci i młodzieży, pod tym tytułem, w pięknej, estetycznej szacie zewnętrznej, poczęły odniedawna wychodzić w Katowicach.

Jeśli chcesz

co tydzień mieć
bądźstronne a wyczerpujące in-
formacje o najważniejszych aktu-
alnych wydarzeniach politycznych,
gospodarczych, społecznych

czytaj

PRAWDE

niezależny tygodnik

jedyny w Polsce bezpartyjny
organ informacyjny
dla inteligencji.

Dzisiaj jeszcze żądaj numeru okazowego

REDAKCJA:

ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 85

Oddziały:

Warszawa — Wilcza 16
Poznań — Skarbowa 7.

Donosimy naszym czytelnikom

że od dnia dzisiejszego
organizujemy w redakcji

„Gazety Literackiej”

sprzedają po cenach zniżo-
nych książek, których tytuły
podajemy poniżej.

Jerzy Braun

Najazd Centaurów,
Kraków 1926

1 zł —

Oceanjada, Kraków

1 „ —

Dywan rozkwitający
Warszawa

1 „ 50

Józef Aleksander Gałuszka

Uśmiechy Boga
Kraków 1922

2 „ —

Dusza miśia, Kraków 1922

2 „ —

Gwiazda Komanderji
Kraków 1925

2 „ —

Juliusz Feldhorn

Domy, Kraków 1925

— 80

Zwycięstwo Ahaswera
Kraków 1926

3 „ —

Pieniądze za żądane książki należy wpłacać na konto „Gazety Literackiej” — **Kraków 406000 lub Warszawa 153.210** z wyszczególnieniem na marginesie blankietu nadawczego nazwiska autora i tytułu książki. Po otrzymaniu wpłaty wysyłkę skutecznymi natychmiast.

Historia filozofii.

Alojzy M. Jirasek — Historia Filozofii (powieść). I t. Biblioteka Słowiańska pod red. Stanisława Alberti. Nakł. F. Hoesicka. Warszawa 1927, str. 217.

Jak słusznie zaznacza we wstępie redaktor Biblii. Słow. — obok wezłów gospodarczych i politycznych łączyć powinno państwa i narody świata współżycie kulturalne. Ono bowiem dając możność zgłębienia psychiki każdego narodu, pozwalając śledzić jego wzrost, walki i rozwój w zwierciadle literatury, zbliża i brata ze sobą ludzi, przypominając im, że do wspólnych dążą celów i że w wirze walk ustawicznych cele te trwały dotąd z oczu.

Dlatego godne są poparcia wysiłki skierowane ku wypienieniu luk, jakie istnieją u nas w dziale przekładów z literatury zagranicznej.

Przyznać trzeba szczerze — wiele dotąd było w tym dziale chaosu. Poszczególne wysiłki były przeważnie bezowocne. Czytywało się różnych Dekobrow, Farrerów i Londonów — i to wystarczało.

Dziś lukę tę wypełnia częściowo Biblioteka Laureatów Nobla, przez swą jednostronność jednak nie dając całokształtu literatury poszczególnych narodów.

Biblioteka Słowiańska ma być właśnie próbą zapoznania nas z kompleksem literatur słowiańskich. Zaczęto od czeskiej. I słusznie. Zbyt mało znamy tak bliskiego sąsiada i dotąd nie zrewanżowaliśmy się należycie za kult, jaki Czesi dla polskiej żywią literaturę.

Tyle ogólnie. Teraz przejdźmy do „Historji Filozofii”. Tu małe zastrzeżenie. Czy wybór padł dobrze — jak na pierwszy tom właśnie? Czy należałoby zapoznać nas najpierw z czeskim Kraszewskim? Jiraskowi przyznać trzeba wielkie zasługi w czasach, kiedy samo budzenie ducha narodowego było już zasługą. Teraz jednak, gdy Czechi nie tylko są wolne, ale szybkimi krokami zbliżają się do potęgi — czy teraz właśnie Jirasek ma poniekąd reprezentować ich twórczość?

Czy należało zapoznawać nas najpierw z czeszczykiem — którąś z jego właśnie powieści dałbyśmy w pierwszym tomie propagandowej biblioteki powieści polskiej?

Są to uwagi nasuwające się mimowoli przy czytaniu tej pogodnejszej książki, z której kart wychyla się ka nam wesoła, beztroska jednakich dawniej, jak i dziś, studenckich lat.

Wydanie staranne. Przekład bez zarzutu. Program dalszych tomów zestawiony ciekawie i zachęcająco.

N. W.

Książki nadesłane.

Franciszek Siedlecki — Helena Modrzejewska — Warszawa 1927. Nakł. Związku Artystów Scen Polskich, Skł. Gł. F. Hoesick. Str. 168. Bogato ilustrowane.

Hanna Mortkowiczówna — Podanie o Władzie (dzieło wstępu literackiego) Warszawa 1927. Skł. Główny Księgarnia Tow. Wydawniczej. Str. 140.

Bolesław Żarnowiecki — Rok 1974 — Toruń 1927. Nakł. Pomorskiej Drukarni Rolniczej S. A. str. 351.

Jerzy Mariusz Taylor — Szmaragd Izdy — Warszawa 1927. Biblioteka Książek błękitnych — E. Wende i Ska, 2 tomy str. 154 i 178.

Droga

Miesięcznik, poświęcony Sprawie Życia Polskiego, chce być organem pracy umysłowej dla budowania

Nowej Polski

Zamieszcza artykuły z dziedziny ideologii narodowej, polityki, życia społecznego, zagadnień gospodarczych, oświatowo-kulturalnych, literackich, artystycznych — tak Polski jak i zagranicy.

Redaktor: Adam Skwarczyński

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ulica Chmielna 33 m. 5, telef. 175-35. Konto P. K. O. 518